Towarzystwo Miłośników Starego Sącza

KRONIKI MUZEALNE

ludzie, fakty, wydarzenia

Nr 4

Stary Sącz 2003

Kroniki Muzealne nr 4

Wydawnictwo Towarzystwa Miłośników
Starego Sącza
33-340 Stary Sącz, Rynek 6
tel. (018) 446 00 94

Zespół redakcyjny:
Jan Koszkul
Andrzej Długosz
Andrzej Nicpoński
Leszek Zakrzewski

Projekt okładki:
Józefa Kamińska

Wydano ze środków
Starostwa Nowosądeckiego w 2003 r.

Kroniki Muzealne
Wydawnictwo Towarzystwa Miłośników
Starego Sącza
33-340 Stary Sącz, Rynek 6
tel. (0-18) 446 00 94

Zespół redakcyjny:
Jan Koszkul
Andrzej Długosz
Andrzej Nicpoński
Leszek Zakrzewski

Projekt okładki:
Józefa Kamińska

Wydano ze środków własnych
Towarzystwa Miłośników Starego Sącza

Ludwik Panczykowski

(4 VIII 1804 Stary Sącz – 13 VIII 1871 Warszawa)

Już za rok w sierpniu będziemy obchodzić dwusetną rocznicę urodzin artysty, który obok wielkich i znakomitych zapisał się chlubnie w dziejach sceny warszawskiej.

Ludwik Panczykowski, bo o nim mowa, przyszedł na świat 4 VIII 1804 r. w Starym Sączu jako dziecko z drugiego małżeństwa Marjanny Michalik – Kęckiej i Józefa Panczykowskiego. Tutaj też w 1822 r. ukończył tzw. *sintaxim*, czyli IV klasę gimnazjum. W tym samym roku wystąpił w Nowym

Sączu amatorsko w zespole Martorella, grając w jednej sztuce aż dwie role: Lurwella i Henryka w „Henryk IV na łowach". Pragnął potem pozostać w zespole, czemu jednak sprzeciwił się ojciec. Niestety, nie zachowało się wiele informacji dotyczących tego okresu. Wiadomo, że przez krótki czas pracował w Starym Sączu w CK. Prefekturze Generalnej, aż „pewnego poranka – jak twierdzi W. Rapacki – drapnął z miasta i z flisakami popłynął do Warszawy". Tu w marcu 1824 r. wstąpił do Szkoły Dramatycznej, gdzie był uczniem B. Kudlicza. Od 1 VIII 1825 r. pracował w Teatrze Narodowym jako chórzysta. Występował także czasami w balecie, m.in. w roli Bąka w „Weselu w Ojcowie". 11 II 1827 r. zagrał w zastępstwie chorego kolegi Polkwicera w „Naszych przedbiegach". Oficjalnie zadebiutował dwa dni później 13 II w roli Fritzhana w „Człowieku z czarnego lasu". Zaangażowany do zespołu dramatycznego, pracował odtąd stale w teatrze warszawskim, rzadko wyjeżdżając. W 1836 r. odbył jedną podróż zagraniczną do Wiednia, kila razy wyjeżdżał na występy gościnne do Lublina i Puław, Buska oraz Krakowa. Według kontraktu zawartego w 1833 r. z prezesem dyrekcji generałem Rautenstrauchem zobowiązany był grywać „role drugich kochanków, lokajów, wieśniaków i charakterystyczne według rozdania".

Słusznego wzrostu, dobrze zbudowany, w poczciwym wyrazem, podobny do proboszcza z jakiejś intratnej parafii, w odwiecznym swoim płaszczu pamiętającym jeszcze napoleońskie czasy, był osobowością, której nikt nie zapomniał, kto raz ją zobaczył. Według Rapackiego legendarnie skromny, choć szorstki w obejściu, słynął z uczynności wobec kolegów i dobroczynności świadczonej wędrownym rzemieślnikom przybywającym do Warszawy z Podhala i Słowacji. „To moi ziomkowie – powiadał – trzeba im pomagać". W podobny sposób pisał o Panczykowskim we „Wspomnieniach pośmiertnych" K. Wł. Wójcicki, które zostały wydane w „Kłosach" nr 322 z 1871 r. Pisze on: „Silnego organizmu, wysokim wzrostem a smukłą postacią, przypominał pobliskich gniazda rodzinnego, górali tatrzańskich. Do nich też miał szczególny pociąg i umiłowanie; był ich opiekunem, gdy przybywali do Warszawy..., pomagał w potrzebie, wspierał własnym groszem i rokrocznie wyprawiał im u siebie Wigilię na Boże Narodzenie. Był to jedyny zbytek jakiego sobie dozwalał, w tej biesiadzie skromnej, przypominającej mu dziecinne i pierw-

szych lat młodości chwile, drogie sercu rodzinne kółko, od którego odbił się tak daleko i nigdy już nie powrócił w gniazdo ukochane..."

Na scenie był on u schyłku doby romantycznej pierwszym zwiastunem realizmu, opartego w swoistym zakresie na bezpośredniej obserwacji. Wskrzeszał postacie kopalne", znikające z powierzchni ziemi. Niezmiernie pracowity, odegrał w swoim życiu kilkaset ról, przeważnie drugoplanowych lub nawet epizodycznych. W tych właśnie zyskał sobie sławę arcymistrza, składającego z okruchów tekstu postacie wciskające się w pamięć tak silnie, „że niczym ich odegnać niepodobna". Nie rwał się do wielkich ról, ale w swoim zakresie epizodów ludowych był artystą skończonym bez porównania. Według Wójcickiego „...nie było lepszego chłopa, jak gdy Panczykowski grał tę rolę, bo czy *smalił cholewki* jako zalotnik do swojej dziewoi, czy zawinąwszy poły sukmany, a czapką naciskając, do *oberka*, i żwawo a dzielnie na *odsibkę* zawijał, czy w uniesieniu lub oburzeniu, w garść plunąwszy, podnosił groźnie pięści, w gotowości do bójki, wszystkie te przejścia cechowała taka prostota, taka prawda z życia wiejskiego, przeniesiona na deski teatralne, że publiczność, porwana urokiem gry Panczykowskiego, grzmotem oklasków objawiała swój zachwyt, swoje zadowolenie..." Bystry obserwator, z temperamentem rasowego portrecisty, nadawał postaciom, które grał, rysy konkretnych modeli, nieraz doskonale znajome publiczności. Tworzył w ten sposób prawdziwe arcydzieła. Gdy miał wykonać dużą i ważną rolę Trzaski w sielance Syrokomli „Chatka w lesie", jak pisał Estreicher, zawiązał znajomość ze starym strzelcem ordynata hr. Zamojskiego. Chodził z nim do szynku i wyciągał za słówka. Powstała stąd przepyszna postać serdecznego Litwina – Polaka, który mówił z przyśpiewem, spluwał po wypiciu kielicha mocnej gorzałki i ocierał o cholewkę buta kozik po ukrajaniu wędzonki. Pomimo realistycznych szczegółów, artysta ładnie i poprawnie mówił wiersze poety, zwłaszcza opowiadając malowniczo o polowaniu na cietrzewie w leśnej głuszy. Panczykowski wykreował postać przesympatyczną w swojej sielskiej powadze, serdeczną a niegłupią, skromną, ale wobec niemiłych osób *zadzierżystą*, jak przystało na zagrodowego szlachcica. Jako Protazy w „Łobzowianach" Anczyca skopiował znanego w Warszawie garbusa, pokątnego doradcy, matacza i szalbierza (niejakiego Nie-

działkowicza) z prawdziwie łudzącą mimiką twarzy, gestu i akcentu. Kotarbiński podaje, że na premierę Panczykowski dał bilet owemu Niedziałkiewiczowi, który zobaczywszy swoją podobiznę na scenie wygrażał z miejsca pięściami artyście. Mówiło się nawet w kuluarach, że „zaczaiwszy się gdzieś w zaułku porządnie wygrzmocił mu plecy". Wdzięczniejszym modelem okazał się głośny warszawski lichwiarz Cwejnos. Został łudząco sportretowany w komedii „Pod strychem", ale cieszył się podobno z reklamy. W podobnym rodzaju oddana została postać szlachcica Brzydkowskiego w „Żydach" Korzeniowskiego. Cwany, chytry, wygadany, ruchliwy krętacz, który nie dał się nikomu otumanić. Gestykulował żywo, spoglądał chytrze oczyma z ironicznym półuśmiechem. Potrafił połączyć chwilową uniżoność z pewnością siebie. Jak twierdzi Rapacki „Ujęcie tej roli naśladowały dwa pokolenia aktorów, tak było świetne..." Do figur ludowych, oddanych z prostotą i prawdą bez cienia szarży lub sztuczności należał jego Szczepanek z „Chłopów Arystokratów" Anczyca. Wiejski samochwał podszyty tchórzem, chłop z krwi i kości w łupinie austriackiego żołdaka. Pewnym uwieńczeniem aktorskiego dorobku artysty był Dyndalski w „Zemście" Fredry. Według tradycji aktorskiej przez nikogo w tej roli nieprześcigniony. Przygotowując się do niej, Panczykowski skopiował własnego ojca, Józefa. Jak sam wspominał w rozmowie z redaktorem „Gazety Warszawskiej" i przyjacielem Józefem Kenigiem: „Oto mój własny ojciec, panie świeć nad jego duszą! Był to sobie stary szaraczkowy szlachcic, nosił taką a taką kapotę, tak trzymał ręce w kieszeniach. Takiego wzoru już nie zobaczę". Jako sługa Cześnika, poważny, ciężkawy ze starości, suwał wolno nogami, zgięty, pełen rewerencji wobec jaśnie pana, chwilami pokornie zapatrzony w jego rozum i splendor. Wobec Papkina jednak i Rejtana w ostatnim akcie prostował się pełen powagi starego marszałka na pańskim dworze i traktował ich nawet z lekceważeniem, mówiąc przez ramię. Mówił wolno, z lekkim odcieniem nosowym charakterystycznym dla służbisty, ukazując przy tym zdrowy rozum i trafną ocenę ludzi. Paradny był w scenie pisania listu za dyktandem Cześnika, gdy w sztywne zgrubiałe palce chwytał gęsie pióro i mrucząc, stękając, wodził nim po papierze z wysiłkiem, ocierając pot z karku i szyi fularową chustką. Taka metoda może wkraczać czasem w dziedzinę pamfletu, ale jeśli model jest dobrze wybrany dodaje grze aktorskiej w rolach komediowych pociągające piętno praw-

dy, opartej na przenikaniu się postaci scenicznej z żywą osobą. Mimo zastrzeżeń, jakie budził nieraz paszkwilancki posmak jego metody, Ludwik Panczykowski był niezmiernie ceniony przez kolegów za swoją twórczość przełamującą skostniałą tradycję. Jako ekswoźny Łykalski w komedii Korzeniowskiego „Majster i czeladnik" stanął śmiało obok Żółkowskiego, aktora pierwszoplanowego i nie dał mu się zaćmić. Było to znowu zdjęte z natury studium, małe arcydzieło, doskonale uchwycony typ kufelkowego bibosza z przedmieścia z zaczerwienionym pałkowatym nosem, z pijacką czkawką i knajpianym tupetem. W tej znakomicie granej roli Panczykowski posunął się do krańców realizmu, imponując wyrazistością gry i prawdą artystyczną.

Jak wspomina Kenig nielekko szło mu życie ani w dostatek nie opływał. W roku 1827 otrzymał swój pierwszy etat w małym teatrze w gmachu Towarzystwa Dobroczynności na Krakowskim Przedmieściu. Roczna gaża wynosiła 1080 zł. 1 grudnia 1827 r. wystosował nawet pismo do dyrekcji Teatru Narodowego, że pensja jego ledwie starczy na komorne i życie i nie ma już za co sprawić sobie ubrania. „Nie widzę więc innego sposobu zarobienia sumy potrzebnej dla zaspokojenia wydatków jak jedynie moim talentem, jakkolwiek w małym stopniu go posiadam". W odpowiedzi otrzymał urlop na 14 dni, aby mógł zarobić trochę grosza na prowincji. Pomimo to przez pierwsze trzy lata szedł stosunkowo szybko jak na owe czasy. W lipcu 1830 r. miał już 2808 złp., a dwa lata później nawet 3888 złp. Jednakże od tamtej chwili pensja nie miała swojego odbicia we wzrastającej popularności aktora. Dopiero po ćwierć wieku pracy na scenie, kiedy jego talent był w największej sile, a wszystkie potrzeby życia niesłychanie wzrosły, otrzymuje Panczykowski 5120 złp. Po 31 latach pracy dostawał 6500 złp. W 1845 r. po śmierci rodziców w Starym Sączu ufundował tablicę epitafijną, obecnie wmurowaną w północną ścianę kościółka św. Rocha na starym cmentarzu. Żył skromnie i skromne były jego pragnienia. W ostatnich latach przed śmiercią zamieszkiwał w domu Fukiera na Starym Mieście na trzecim piętrze... Przez 47 lat żył prawie samotny na świecie, w którym królowały: praca, spokój i modlitwa.

Artyzm Panczykowskiego polegał głównie na trafnym, nawet drobiazgowym uchwyceniu cech zewnętrznych, gestu, intonacji, grymasu twarzy konkretnych osób i dosto-

sowanie ich do granych postaci. Otwierając się na wpływy sfery otoczenia i warunków życiowych, aktor odczuwał i rozumiał doskonale dusze proste, nieskomplikowane, szczerość dziecka ludu wychowanego na łonie przyrody. W epoce wirtuozostwa i ekspresji opisowej, odtwarzał prawdę swych typowych postaci, wiernie z pietyzmem i dokładnością porównywalną z najlepszymi portretami malarzy doby realizmu. Powtarzając za Estreicherem: „Był w swoim rodzaju indywidualnością odrębną, nikogo nie przypominał – po nim żaden aktor na scenie warszawskiej nie zajął takiego stanowiska w danym zakresie ról".

Zmarł w pełni sił w 1871 r. Tak opisywał to wydarzenie Wójcicki na łamach „Kłosu": „Dnia 13 sierpnia br. o trzeciej po północy zakończył dni swoje w sześćdziesiątym siódmym roku życia. Przy jego śmiertelnym łożu obecny był kapłan i wierny służący wychowanek... Warszawa dawno nie widziała tak okazałego a rzewnego obchodu. Wyniesioną trumnę, pokrytą bujnymi wieńcami, z kościoła św. Antoniego przy ulicy Senatorskiej na barkach swoich ponieśli artyści teatrów warszawskich i przyjaciele zmarłego, za nimi podążał kilkutysięczny orszak mieszkańców na cmentarz Powązkowski. Orkiestry tychże teatrów wraz z chórem męskim opery wykonały marsza żałobnego Nideckiego i *Salve Regina*... W pozostawionym testamencie nie zapomniał Panczykowski o służącym swoim, wychowanku i przyjacielu, o góralach, którymi się przez tyle lat opiekował i o przyjaciołach swoich. Napisał w nim:"*Nie lubiłem za życia ostentacyi, zbytku i rozgłosu, pragnę więc i po śmierci pogrzebu, który by nie kłamał życiu mojemu*... Był to dzień uroczystego święta Wniebowstąpienia Najświętszej Panny Maryi, jakby zapowiedź, że dusza sprawiedliwego znajdzie w niebiosach wieczny spoczynek, zasłużony całym życiem artysty i człowieka".

Przy opracowaniu wykorzystano „Słownik biograficzny teatru polskiego" (1973) oraz „Kłosy" Nr 322, T. XIII

Marian Mikuta „Sowizdrzał z Sącza" 1908 -1976

Ze Starego Sącza, dodać trzeba koniecznie, bo idzie przecie o Mariana Mikutę, a on się właśnie tutaj urodził 9 lipca 1908 r., stąd też w daleki świat ruszył - jak się to potocznie zwykło mówić. I tutaj także, w końcu swojej drogi 15 października 1976 r. spoczął na wieki wieków.

Zanim się jednakże podejmie próbę przypomnienia, co podmiot niniejszych rozważań dokonał w czasie całej swojej drogi, zaś dokonać musiał co niemiara, skoro w dziesiątą rocznicę jego śmierci wybito medal jego imienia - więc nim się taką próbę podejmie, wypada się może najpierw usprawiedliwić z tego sowizdrzała w tytule, bo sowizdrzał i jako pojęcie i jako jego nazwa, nie ma najlepszych notowań semantycznych w naszym potocznym języku. Ale nasz język i z mądrości potrafi sobie nieodpowiedzialnie zadworować, o czym świadczy słowo *mędrek*, służące co poniektórym nie za bardzo rozgarniętym do pogardliwego nazywania tak każdego, co ich przerasta rozumem.

Warto przeto na wszelki wypadek przypomnieć - nawet z narażeniem na zarzut mędrkowania - że słowo Sowizdrzał jest tzw. kalką z niemieckiego Eulenspiegla (sowiego zwierciadła, sowiego zrzała w staropolskim, a ściślej to sowiego oka. Zaś sowa - wiadomo, co symbolizuje, skoro jest ptakiem Ateny, ta zaś Boginią mądrości).

Miano Eulenspiegla nosił, jak wiadomo bohater średniowiecznych historyjek, dzięki którym stał się on przysłowiowym uosobieniem humoru i mądrości.

U nas natomiast przez wydanie tychże historyjek w odpowiednim wyborze pt. „Dyl Sowizdrzał", Eulenspiegel jako kolokwialny sowizdrzał stał się li pospolitym trzpiotem.

Mariana Mikutę uznać trzeba za uosobienie humoru i mądrości. Wprawdzie nie zawsze jego humor był znowu taki bardzo przedni, a mądrość zbyt arystotelejska, ale w sumie w obu zakresach był osobowością ponadprzeciętną. W pozytywnym tego słowa znaczeniu oczywiście.

Aby to uzasadnić przekonująco, spróbujemy najpierw wrócić do wspomnianego medalu.

Wybito go w roku 1986 z inicjatywy i dzięki realizacyjnym zabiegom wiceprezesa Katowickiego Oddziału TKT - Towarzystwa Kultury Teatralnej, Janusza Kurka. Medal zaprojektował artysta plastyk, znany medalier Zygmunt Brachmański. Na awersie medalu widnieje głowa M. Mikuty i napis *Marian Mikuta 1908 - 1976.* Zaś na rewersie napis: *zasłużonemu dla kultury teatralnej 1907 - TKT 1967 Katowice.*
Medal ten przyznaje się w Katowicach corocznie od 1987 roku jako znaczące wyróżnienie szczególnie zasłużonym działaczom i zespołom zrzeszonym w TKT oraz osobom spoza TKT wnoszącym wkład w upowszechnianie kultury teatralnej w województwie śląskim.

Sięgając laudacji inicjatora wybitego medalu, a w swoim czasie studenta Mikuty - i jak powiada, jego wychowanka - otrzymujemy w zasadzie dość szczegółowy konterfekt *medalisty.*

Dowiadujemy się zeń m. in., że „Doc. dr Marian Mikuta, jako artysta był recytatorem, aktorem, reżyserem, autorem scenariuszy, i adaptatorem; jako działacz społeczny dał znać o sobie w wielu dziedzinach, zaś o osiągnięciach w owej działalności świadczą te wszystkie odznaczenia, którymi go za życia uhonorowano, a jest ich przecie sporo; że do szkoły podstawowej uczęszczał w miejscu urodzenia, a na Uniwersytecie Jagiellońskim uzyskał dyplom magistra filozofii w zakresie pedagogiki; i wreszcie dowiadujemy się tamże, że ostrogi aktorskie oraz reżyserskie zdobywał jako uczeń Wandy Siemaszkowej i Junoszy Stępowskiego".

Jeżeli chodzi o miejsce pracy pedagogicznej Mikuty i zajmowane w nich stanowiska, to dla pełni tworzonego tu obrazu - a nie ma tenże obraz być przecież życiorysem ani tym bardziej

kroniką - wystarczy wymienić Państwową Szkołę Instruktorów Teatrów Ochotniczych, w której był dyrektorem. Dyrektorował także w Ośrodku Szkolenia Zawodowego Przemysłu Metalowego, w Wyższej Szkole Aktorskiej w Łodzi i w Uniwersytecie Łódzkim był wykładowcą. Wykładał również w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Katowicach i w Częstochowie; w Studium Nauczycielskim w Krzeszowicach i Tarnowie.

Ale to działo się już po wojnie (II. Światowej). Zaś Mikuta działalność pedagogiczną uprawiał już przed 1939 rokiem.

W latach 1935 - 39 wykładał w Ośrodku Szkoleniowym Młodych Polaków i na kursach wakacyjnych organizowanych przez Światowy Związek Polaków dla uczestników zagranicznych. W 1937 wykładał na nielegalnym kursie teatralno-oświatowym zorganizowanym przez Polonię Czechosłowacką w schronisku na Kozubowej. W marcu 1939 roku, wspólnie z Jadwigą Turowiczówną prowadził nielegalnie kurs teatralny w Sztumie dla Polaków z Prus Wschodnich.

W okresie okupacji pracował ponoć w tajnych kompletach nauczania, prowadził nielegalnie chór dzieci krakowskich, recytował na konspiracyjnych wieczorach artystycznych, organizował z młodzieżą szkolną widowiska regionalne na terenie Krakowa i Woli Duchackiej, a od maja 1944 roku prowadził - również w Krakowie teatr kukiełek.

I tak dotarliśmy do tego zakresu działalności Mikuty - nazwijmy ją umownie recytatorsko-inscenizacyjną, która przez swoją różnorodność, bogactwo i ilość wymyka się jeszcze skutecznie próbom poszeregowania, a przede wszystkim wymienienia i zliczenia.

Zacznijmy od 1928 roku. Wtedy - jak dowiadujemy się z przyczynku do historii radiowej reklamy zamieszczonym w folderze wydanym przez Agencję Reklamy Radia Katowice w dziesięciolecie swojej reklamowej działalności - *Rozgłośnia Polskiego Radia zorganizowała w Krakowie Ogólnopolski Konkurs Radiofoniczności Głosu dla lektorów radioreklamy. Zwycięzcą został Marian Mikuta - aktor, reżyser, autor licznych słuchowisk radiowych.*

Przenieśmy się w czasie o kilkadziesiąt lat później.

Katowiczanin najlepszym gawędziarzem Podhala - pod takim tytułem 9 września 1968 r. „Dziennik Zachodni" doniósł w tzw. informacji własnej: *Nie lada sukces odniósł mieszkaniec Katowic, mgr Marian Mikuta, kierownik teatru studenckiego WSP. Wraz z 25 gawędziarzami z Podhala wziął udział w konkursie „Sabałowe bajania", kończącym „Tatrzańską*

kroniką - wystarczy wymienić Państwową Szkołę Instruktorów Teatrów Ochotniczych, w której był dyrektorem. Dyrektorował także w Ośrodku Szkolenia Zawodowego Przemysłu Metalowego, w Wyższej Szkole Aktorskiej w Łodzi i w Uniwersytecie Łódzkim był wykładowcą. Wykładał również w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Katowicach i w Częstochowie; w Studium Nauczycielskim w Krzeszowicach i Tarnowie.

Ale to działo się już po wojnie (II. Światowej). Zaś Mikuta działalność pedagogiczną uprawiał już przed 1939 rokiem.

W latach 1935 - 39 wykładał w Ośrodku Szkoleniowym Młodych Polaków i na kursach wakacyjnych organizowanych przez Swiatowy Związek Polaków dla uczestników zagranicznych. W 1937 wykładał na nielegalnym kursie teatralno-oświatowym zorganizowanym przez Polonię Czechosłowacką w schronisku na Kozubowej. W marcu 1939 roku, wspólnie z Jadwigą Turowiczówną prowadził nielegalnie kurs teatralny w Sztumie dla Polaków z Prus Wschodnich.

W okresie okupacji pracował ponoć w tajnych kompletach nauczania, prowadził nielegalnie chór dzieci krakowskich, recytował na konspiracyjnych wieczorach artystycznych, organizował z młodzieżą szkolną widowiska regionalne na terenie Krakowa i Woli Duchackiej, a od maja 1944 roku prowadził - również w Krakowie teatr kukiełek.

I tak dotarliśmy do tego zakresu działalności Mikuty - nazwijmy ją umownie recytatorsko-inscenizacyjną, która przez swoją różnorodność, bogactwo i ilość wymyka się jeszcze skutecznie próbom poszeregowania, a przede wszystkim wymienienia i zliczenia.

Zacznijmy od 1928 roku. Wtedy - jak dowiadujemy się z przyczynku do historii radiowej reklamy zamieszczonym w folderze wydanym przez Agencję Reklamy Radia Katowice w dziesięciolecie swojej reklamowej działalności - *Rozgłośnia Polskiego Radia zorganizowała w Krakowie Ogólnopolski Konkurs Radiofoniczności Głosu dla lektorów radioreklamy. Zwycięzcą został Marian Mikuta - aktor, reżyser, autor licznych słuchowisk radiowych.*

Przenieśmy się w czasie o kilkadziesiąt lat później.

Katowiczanin najlepszym gawędziarzem Podhala - pod takim tytułem 9 września 1968 r. „Dziennik Zachodni" doniósł w tzw. informacji własnej: *Nie lada sukces odniósł mieszkaniec Katowic, mgr Marian Mikuta, kierownik teatru studenckiego WSP. Wraz z 25 gawędziarzami z Podhala wziął udział w konkursie „Sabałowe bajania", kończącym „Tatrzańską*

Jesień" w Zakopanem. Sąd Konkursowy, złożony m. in. z językoznawców UJ przyznał przedstawicielowi Śląska pierwsze miejsce (...) Autentyczni górale mieli w tym gwarowym pojedynku trudnych przeciwników w „góralach z miasta" (...) Warto podkreślić, że jedno z trzech miejsc uzyskał również mieszkaniec Śląska, aktor Teatru im. Wyspiańskiego, Antoni Jurasz.

Od niego dowiedziałem się, że Mikuta *bajał* wtedy własnym tekstem - *I to przede wszystkim zaważyło* - żali się Jurasz wspominając ten konkurs - *ja zaś leciałem gwarą góralską spod pióra Tetmajera. Na dodatek jeszcze chyba z żywieckimi naleciałościami, bo pochodzę spod Żywca.*

Prócz tekstów służących mu do *bajania*, Mikuta napisał wiele innych rzeczy. Pisał - publikowane w periodykach – artykuły i rozprawy na temat metodyki i organizacji pracy w teatrze niezawodowym, na temat kultury mowy oraz metodyki upowszechniania kultury, sztuki i oświaty. Jego bibliograficzny dorobek zawiera też kilkanaście pozycji wydanych w formie książek i broszur, a wśród nich ceniony podręcznik „Kultura żywego słowa".

Zaś jego pierwsza publikacja w formie książkowej, to prawdopodobnie wydana w Krakowie w kwietniu 1939 r. przez *Wydawnictwo Małopolskiego Związku Teatrów i Chórów Ludowych* „Świętojańska Sobótka" - Inscenizacja Obrzędu Ludowego", zawierająca bogatą instrukcję do inscenizacji.

Sam zresztą tę „Świętojańską Sobótkę" inscenizował. Jak również ok. 30 innych swoich scenariuszy i widowisk teatralnych.

Do tego doliczyć trzeba jeszcze imprezy recytatorskie, prezentowane jako „Koncerty słowa".

Wartość koncertów słowa Mariana Mikuty polega na tym, że nie ogranicza się on tylko do popisu recytatorskiego, ale daje im specjalną oprawę dydaktyczną. Wskutek tego koncert stanowi zamkniętą i przemyślaną całość treściową, ukazującą słuchaczom pewien konkretny sens poznawczy. - Spośród licznych ocen zawartych w prasowych omówieniach i recenzjach pozwoliłem sobie wybrać, co napisano w nr 10/1957 r. „Teatru", wówczas tygodnika Stowarzyszenia Polskich Artystów Teatru i Filmu.

Na terenie całego kraju i w zagranicznych ośrodkach polonijnych. *W okresie 32-lecia pracy artysta dał około 7 800 koncertów słowa, których wysłuchało 3 000 000, nie licząc*

Przedstawione dokonania Mariana Mikuty o jego mądrości mówić się zdają nader przekonywująco. Gorzej z udokumentowaniem jego wielkiego poczucia humoru, dowcipności, facesjonizmu i chorobliwej wręcz skłonności do żartów.

I można by tego zrobić niezły program rozrywkowy, więc trochę może szkoda, że tonie to wszystko w ulotnej anegdotyczności wspomnień. No, ale trzeba też wziąć pod uwagę, że kto wie, czy nic straconego, bo to, co śmieszyło kiedyś, niekoniecznie byłoby takie znowu śmieszne dzisiaj i taka jest na ogół właściwość wielkiej dociekliwości.

Józef Podobiński kompozytor, stale współpracujący z Mikutą, mieniący się być jego asystentem, wspomina na przykład o nim, że *potrafił jednak także - zmieniając głos jako „sąsiad z klatki" - dzwonić do przyjaciół, informując ich o swojej śmierci, zaś gdy ci, przejęci do żywego, zjawili się u niego, stawał w drzwiach z gorzałką w ręku ze słowami „ach witam, witam na stypie"*. Podobiński wspomina także o jego skłonności do nagminnego podkreślenia, że to go chrzestna matka obdarzała tak wielkim talentem - Jadwiga Szayer, znana jako słynna śpiewaczka Ada Sari.

Z chłopską gębą i posturą z waszecia, uparty, czasem huczący artystycznie na cały wydział, zawsze z zaimkiem JA na ustach - tak jego dowcipność wspomina Stanisław Warmbrand, dziennikarz z „Dziennika Zachodniego". Szczególnie owo „Ja" go drażniło, skoro nawet tak to egemplifikuje: *kiedy decydowano na KC, czy ulokować stolicę w Łodzi, czy odbudować Warszawę, to Mikuta się przechwalał, że on już dawno zadecydował. Był Marian Mikuta z tym swoim Ja rozczulający. Czasem nieznośny.*

Dodawszy jeszcze tylko, że przytoczone wspomnienia zaczerpnąłem z materiałów gromadzonych przez Towarzystwo Kultury Teatralnej - w celu wydania okolicznościowej publikacji jako uzupełnienia do medalu im. Mariana Mikuty, zacytuję na ostatek przyśpiewkę z 33 stron jego wspomnianej już „Świętojańskiej Sobótki".

Słoneczko zachodzi, miesioncek wschodzi,
stary ojców obycoj kończyć się godzi!

Autor tego opracowania, starosądeczanin
jest znanym publicystą, redaktorem, poetą.
Obecnie mieszka i pracuje w Krakowie.

Bronisława Rychter Janowska artystka malarka 1868 - 1953

„Wspaniała interpretatorka przyrody" - tak Bronisławę Rychter - Janowską nazwał świat artystyczny i dziennikarski Krakowa.

Aplikacje artystyczne stosowane w jej malarstwie, rzadko potem znajdowały naśladowców. Wszyscy, którzy mieli kontakt z jej twórczością zgodnie oceniają, że jej malarstwo cechuje ogromne bogactwo kolorytu i żywości barw. Swoją malarską uwagę skupiła na zaułkach dużych i małych miast, ukazując je w dziennym i nocnym świetle. Była mistrzynią gry świateł i cieni ujętych czytelnie, zrozumiale dla każdego odbiorcy. Podziw budzą obrazy wiernie odzwierciedlające polskie dworki i ich wnętrza. Cechuje je bogaty patriotyzm i hołd oddawany dziedzictwu tradycji narodowej. Malowane przez nią krajobrazy były zawsze materią żywą, samym życiem. Wyszukiwała najpiękniejsze fragmenty natury i potrafiła ich piękno przelać na płótno.

Artystka swoje prace wystawiała wielokrotnie na wystawach i zawsze cieszyły się wielką popularnością i uznaniem. Również dzisiaj prace jej są cennym nabytkiem mu-

zeów i galerii. Swoją bogatą twórczość sama artystka obliczała na około 3000 różnorodnych prac. W 2003 r. przypada sześćdziesiąta rocznica śmierci malarki związanej z naszym miastem.

Br. Rychter Janowska – *Stary Sącz. Widok na Dom na Dołkach i fragment rynku*
Fot. Józef Czyżowski

Bronisława, Anna, Waleria Janowska urodziła się 13 lipca 1868 r. w dzielnicy Krakowa - Podgórze. Była córką Władysława Janowskiego - uczestnika powstania listopadowego (był później leśniczym w Zwardoniu) i matki Malwiny z Borzęckich wywodzącej się z rodu Jaxa - Rożnów, rodu o bardzo głęboko wpojonych zasadach patriotyzmu i chrześcijaństwa. Matka Bronisławy była siostrą trzeciego zakonu św. Franciszka. Przez 42 lata matka Bronisławy była pedagogiem, a przez długie lata uczyła i dyrektorowała w szkole im. Czackiego w Krakowie. Została przez zaborczy rząd austriacki odznaczona medalem i krzyżem zasługi. Pisywała drobne powieści drukując je w „Wieńcu" i „Pszczółce" pod pseudonimem „Zośka z Wojnarowej".

Te wspaniałe cechy i tradycję wpoiła swoim dzieciom - Bronisławie i jej bratu Stanisławowi starszemu od niej o 2 lata, a który od dziecka był ubóstwiany przez Bronisławę i służył jej za wzór w osiąganiu marzeń.

O życiu Bronisławy dowiadujemy się z jej cennego pamiętnika, który pisała prawie do końca swego życia (zmarła w wieku 85 lat). Przekazała pamiętnik do Ossolineum i czytając te zapiski poznajemy żywot nie tylko jej i rodziny, ale

możemy zapoznać się z przebiegiem zmian socjalnych, politycznych, kulturalnych, których była świadkiem. Opisuje to wszystko z wielkim talentem narratorskim i malarskim, zmysłem spostrzegawczym a często w języku i stylu bardzo dosadnym.

Początkowo życie małej Broni i jej starszego brata było bardzo ubogie. Ona po ukończeniu konwiktu, czyli szkoły z internatem przy klasztorze SS Klarysek w Starym Sączu (o której to wspomina niechętnie w swych zapiskach) została nauczycielką w szkole w Siołkowej w byłym powiecie grybowskim (obecnie powiat nowosądecki). Stanisław, jej brat po ukończeniu Szkoły Sztuk Pięknych w Krakowie, a później Akademii w Monachium zasłynął jako malarz nietuzinkowy zdobywający rozgłos. Wiedząc, że Bronisława marzyła zawsze o malowaniu, przyjeżdża do Siołkowej i namawia ją na wyjazd na studia do Monachium. W Monachium Bronisława o przysłowiowym chłodzie i głodzie zdobywa wiedzę malarską w Akademii prof. Ażbego, potem Hollosy'ego gdzie nauczycielami jej byli Zorn i Zulvaga oraz głośny wówczas portrecista Lembacch. Bronisława najbardziej jednak ceniła sobie rady słynnego panoramisty Ludwika Bollera. Po Monachium jedzie na studia do Florencji potem do Rzymu. Zwiedza Niemcy, Austrię, Szwajcarię, Francję. Wszędzie bez problemu nawiązuje kontakty, wszędzie ma przyjaciół, znajomych a potem wielbicieli jej talentu.

W zapiskach swych nie tai nieudanego ślubu i ciężkiego pożycia z malarzem Tadeuszem Rychterem, jak i również ciągłych zatargów ze swoją bratową, znaną już w świecie teatru Gabrielą Zapolską, która po burzliwej miłości wychodzi za mąż, za brata Bronisławy Stanisława Janowskiego. Sprzeczki z bratową nie przeszkadzają Bronisławie podkreślić jej wielkiego talentu.

Jej pamiętniki to mnóstwo wiadomości o wielu znanych ludziach świata artystycznego, o ludziach nauki o duchowieństwie nie wyłączając nawet papieża Piusa X. Staje się bardzo znaną, popularną i lubianą osobą w swoim środowisku.

To dla niej, gdy ze swych wojaży wróciła do Krakowa, sam mistrz Boy Żeleński ułożył piosenkę, którą śpiewa "Janek", bohater głośnej wówczas opery Władysława Żeleńskiego pod tym właśnie tytułem:

„Ej, Ty Bronko moja miła,
Takaś piękna, takaś młoda ..."

Br. Rychter Janowska – *Portret mieszczki, p. Gancarskiej*
Fot. Józef Czyżowski

A ona maluje, portretuje, szyje stroiki dla kukiełek „Zielonego Balonika", który August Kisielewski założył w Jamie Michalikowej.

Gdy osiągnęła już pewien dorobek artystyczny, gdy miała już dość wojaży a zwłaszcza kilkuletniego pobytu we Włoszech osiadła u matki w Starym Sączu, która wcześniej się tu przeniosła. Wnet do niej przyjeżdża brat Stanisław. W Starym Sączu przebywała w latach 1905 - 1916.

Wszechstronnie utalentowana, pełna energii, pomysłów, których, jak pisze sama w swych pamiętnikach, „mieszczański, kołtuński światek Starego Sącza nie pozwolił jej zrealizować".

Postanowiła założyć w Starym Sączu prywatną szkołę malarską. Pomieszczenia znalazła w budynku przy dzisiejszej ulicy Partyzantów pod nr 1. Fakt ten upamiętnia okolicznościowa tablica wmurowana przez Towarzystwo Miłośników Starego Sącza.

Chciała bardzo dobrze, miała zezwolenie władz, podczas inauguracji błogosławieństwo księdza, który potem rozpętał przeciwko niej burzę wśród społeczeństwa tego miasteczka.

Dom przy ul. Partyzantów, w którym mieściła się pracownia i szkoła malarska Bronisławy Rychter Janowskiej.
Fot. Józef Czyżowski

Opisała to dokładnie w swoim niepowtarzalnym pamiętniku: „Pracowałam bardzo, nie zmarnowawszy ani jednej chwili. Ponieważ zaczęto się do mnie zgłaszać o lekcje malarstwa, a kandydatów i kandydatek była spora liczba, wpadłam na myśl założenia szkoły. Zaczęłam szukać odpowiedniego lokalu, co mi się udało w sąsiednim domu, gdzie wynajęłam dwa pokoje... Po mszy świętej, która rozpoczęła działalność szkoły, zamówiłam im, czyli uczniom, pierwszego modela - babcię, którą zaczęli rysować. Potem był stary dziad spod kościoła - skóra i kości".

Cytuję dalej jej pamiętniki: „a ponieważ ksiądz bywał poprzednio naszym częstym gościem i widział namalowany w martwej naturze akt greckiej rzeźby, chwycił się tego faktu jak pijany płotu i grzmiał na cały głos o mej niemoralności, której dowody sam na własne oczy oglądał w obrazie, jaki namalowałam i grzmiał: „kobieta , która maluje nagie figury i drugich do tego namawia, jest niemoralna".

Przyszła laureatka Polskiej Akademii Umiejętności kochała Stary Sącz, chciała coś dla tego miasta zdziałać, zbuntowała się i napisała otwarty list do księdza Pabisa kapelana ss. Klarysek. Przyjechał specjalnie w tej sprawie ks. jezuita z Nowego Sącza, ale nic nie wskórał. Za namową ks. Pabisa zaczął się bojkot szkoły. Jak pisze sama: „przeszłam przez straszny pręgierz głupoty i zazdrości ludzkiej, ale nie ustałam i do końca roku szkolnego dzieło rozpoczęte prowadziłam, a w ostatnich dniach czerwca urządziłam wystawę tych prac Nowym Sączu, która miała wielkie powodzenie i narobiła wiele hałasu".

Fotografia pracowni malarskiej w szkole B . Rychter Janowskiej

Na dodatek ktoś z „życzliwych" napisał o tym wszystkim do pism obszerne artykuły, a brać malarska w Krakowie dowiedziała się o tym fakcie i postanowiła ten ewenement uczcić specjalnym kabaretem w Jamie Michalikowej. Wysłano do Pani Bronisławy Rychter Janowskiej bardzo długi telegram (który od razu został przekazany ks. Pabisowi), że obiecują ją spalić na stosie jako czarownicę XX wieku. Kabaret się faktycznie odbył w asyście sław aktorskich ówczesnego Krakowa, stał się sławny, a ks. Pabisowi dostało

się niejedno szydercze słowo. Malarka po paru miesiącach, po debacie w radzie miejskiej w Starym Sączu otrzymała pismo potępiające jej zachowanie, a prasa mająca już dowód na piśmie rozpisywała się długo „o dokumencie dowodzącym o wielkim zacofaniu".

Co prawda ks. Pabisa biskup tarnowski L. Wałęga osadził za niedługo w klasztorze w Tarnowie, ale malarka z nowym rokiem szkolnym nie otworzyła już kursu malarskiego chociaż przebywała w Starym Sączu do 1916 roku.

Powraca do Krakowa. Zarabia dużo, ale też dużo wydaje głównie na cele społeczne. Swoim kosztem wychowała i wykształciła siedmioro chłopskich dzieci. Była niesamowicie pracowita. Akwarele, pastele, olejne obrazy, rysunki. Pracuje prawie do końca swego długiego życia. Publikuje artykuły, wspomnienia. Nadzwyczaj boleśnie przeżywa śmierć w 1942 r. swego ukochanego brata. Po II wojnie światowej najlepsze swoje obrazy jak i odziedziczone obrazy po bracie Stanisławie wartości antykwarycznej w ilości ok. 400 sztuk zapisuje na rzecz kilku muzeów i zbiorów na Wawelu.

Zostaje odznaczona Złotym Krzyżem Zasługi.
Umiera 29 września 1953 roku w Krakowie.

Na jej grobie płyta z napisem:
„W głęboki spokój i niebiańską ciszę
Dusza się moja zatapia powoli
Tam gdzie już ludzkich głosów nie usłyszę
Gdzie nic nie dręczy i nic już nie boli"

Malarka na pewno uzyskała swą ciszę, ale nam i naszym następnym pokoleniom pozostawiła piękno naszych okolic, zachowała w swych obrazach wygląd dworków i ich wnętrz i tym samym dała nam radość oglądania tego co nam daje możność wyciszenia i chęci do dalszego działania.

Bądźmy jej za to wdzięczni.

Bogusława Agata Konstanty

1936 - 1984

W odniesieniu do Bogusławy Agaty Konstanty określenia: „zasłużony działacz", „człowiek kultury" brzmią płytko i patetycznie. Potraktowanie poezji jako zawodu, pracy pozbawia twórczość artystki „magii". Lepiej zapamiętać bezpośredniość, autentyzm i wrażliwość poetki. Fascynujące inscenizacje dramatów Mickiewicza i Sofoklesa. Była jedną z barwnych postaci Sądecczyzny. Przyjrzyjmy się drodze artystycznej, niestety przedwcześnie zakończonej.

Bogusława Agata Konstanty – dla rodziny, przyjaciół i znajomych po prostu Agata – urodziła się w Starym Sączu 16 sierpnia 1936 roku. Rodzice: matka Anna, z domu Zwolińska i ojciec Stanisław – byli nauczycielami. Miała dwie siostry: Stanisławę i Annę oraz brata Ludomira. Była najstarsza z rodzeństwa. Po ukończeniu szkoły średniej, za namową matki rozpoczęła studia w Akademii Medycznej w Krakowie, na Wydziale Farmacji. Jej celem było zdobycie „prak-

tycznego" zawodu. Szybko włączyła się w działalność studenckiego kabaretu „Cyrulik". Wybierając samodzielność i niezależność rzuca studia. Wybrała Policealne Studium Farmaceutyczne. Po jego ukończeniu Bogusława pracowała, przez jakiś czas w aptece, w Toruniu. Praca w aptece szybko okazała się dla niej zbyt monotonna. W 1963 roku zatrudnia się w toruńskim Związku Teatrów Amatorskich, gdzie przez dwa lata jest instruktorką. Następnie przenosi się do Państwowego Teatru Lalki i Aktora „Baj Pomorski", gdzie jako aktorka występuje w latach 1965 – 1967. Zawód aktora kontynuuje w Państwowym Teatrze Ziemi Opolskiej w Opolu – Teatrze Lalek, dokąd przenosi się w 1967 roku. W tym czasie skończyła Studium Aktorsko – Reżyserskie Lidii Zamkow i Leszka Herdegena przy PWST w Krakowie. W Opolu, współpracując z Rafaelą Łukaszewicz Bogusława napisała dwie sztuki lalkowe dla dzieci. Pierwsza to „Miś Bąbelek wśród rozbójników", bajka wystawiana w sezonie 1968/69 ponad pięćset razy, grana również poza granicami Polski. Główną rolę w bajce zagrała Bogusława Agata Konstanty. Drugą sztuką była „Planeta Ma-Sa-Ru", grana w sezonie 1970/71. Autorka wcieliła się w postacie Bartka i Etceterki. Premierowy pokaz tej „baśni kosmicznej" dla dzieci w wieku szkolnym, stał się wydarzeniem na skalę krajową. Treść utworu dotyczy przestrzegania przepisów ruchu drogowego, więc na premierze obecni byli funkcjonariusze milicji obywatelskiej z komend głównych Opola, Katowic, Łodzi i Zielonej Góry. Bogusława Konstanty przygotowała na XIX Okręgowy Przegląd Amatorskich Zespołów Artystycznych składankę estradową „Imieniny szefa", wykorzystując utwory Juliana Tuwima, Jeremiego Przybory, Tadeusza Kubiaka i Stefanii Grodzieńskiej. Komisja przeglądu wysoko oceniła spektakl. W Opolu prowadziła równocześnie zespół teatralny w klubie „U Agaty", mieszczącym się przy Opolskiej Spółdzielni Mieszkaniowej. Osiągnięciem tej amatorskiej grupy było wystawienie programu poetyckiego „Sen XX wieku". Bogusława Konstanty, w tym czasie jest stałym współpracownikiem „Trybuny Opolskiej" pisząc recenzje ze spektakli lalek.

W 1973 roku wraca do Starego Sącza i zamieszkuje w domu rodzinnym przy ulicy Kazimierza Wielkiego. Rozpoczyna pracę w Domu Kultury Kolejarza w Nowym Sączu. Jest instruktorką, opiekunką artystyczną i reżyserką

Teatru Robotniczego imienia Bolesława Barbackiego. Pracuje tu aż do śmierci. Reżyserowała lub współreżyserowała osiemnaście spektakli. Do najciekawszych należały „Dziady część II" według dzieła Adama Mickiewicza. Stworzone zostały przy współpracy Anny Matuszewskiej i Andrzeja Horoszkiewicza, wystawione zostały siedem razy w nowosądeckiej synagodze. „Dziady cześć II" Bogusławy Konstanty były „dla większości sądeczan prawdziwym szokiem. Inscenizacja – chociaż nie jest to określenie zbyt szczęśliwe – pozbawiona została wszystkiego do czego widz był przyzwyczajony. Miejscem, w którym toczy się akcja jest stara, zdewastowana synagoga; nie ma sceny, nie ma widowni. Wszyscy są uczestnikami tajemniczego obrzędu, którego bohaterowie wychodzą z tłumu i w nim znikają. Aktorzy bardzo dobrze realizują koncepcję reżyserów (...)[1].

Kolejnym przykładem oryginalności w podejściu do inscenizacji teatralnej była „Antygona" Sofoklesa. Spektakl Bogusławy Konstanty był wielokrotnie wystawiany. Nowosądecki teatr wystawiał „Antygonę" w 1975 roku na Konfrontacjach Ruchu Artystycznego Młodzieży. Następne osiągnięcie to „Protokół z jednego zebrania" według Gelmana, grany w latach 1977 i 1978. Sztuka w interpretacji Konstanty odniosła sukces na kilku przeglądach twórczości teatrów amatorskich. Wielkim powodzeniem wśród publiczności cieszyły się „Madonny Polskie" według Jerzego Harasymowicza. Dorobek reżyserski uzupełniają: monodram „Sołtyska" na podstawie „Diabłów" Tadeusza Nowaka, „Po latach milczenia" – impresja na temat poezji Czesława Miłosza oraz „Człowiek i cierpienie" według utworów Karola Wojtyły. Nieuleczalnie chora reżyseruje swój ostatni spektakl - „Traktat o rzeczy ostatniej" w oparciu o twórczość poetów: Krzysztofa Kamila Baczyńskiego, Tadeusza Borowskiego, Tadeusza Kubiaka, Jerzego Masiora, Czesława Miłosza. Premiera odbyła się 31 września 1983 roku. To widowisko plenerowe grano cztery razy, a sceną był stary cmentarz przy alei Wolności w Nowym Sączu. O pasji reżyserskiej Bogusławy Konstanty wspominał Masior: „To co wyszło spod Jej ręki, nosiło piętno oryginalności. Pozostawała zawsze sobą, wiedzą o tym najlepiej ludzie teatru. Jej teatru. Jako reżyser czuwała nad kształtem i brzmieniem każdej strofy

[1] S. Śmierciak, Dziady *w starej bożnicy*, Gazeta Krakowska, nr 312, 1974, s.4.

wiersza, każdego słowa. Inscenizując poetyckie spektakle' potrafiła udowodnić, że i w amatorskim ruchu artystycznym można realizować zamierzenia ambitne."[2]

Bogusława Konstanty prowadziła także teatrzyk dla dzieci „Kaczki dziwaczki" inspirowany twórczością Jana Brzechwy. W maju 1982 roku dzieci pod jej kierownictwem zdobyły główną nagrodę „Berło Króla Błyska" w IV Międzywojewódzkim Turnieju Teatrów Dziecięcych, pod hasłem „O uśmiech dziecka". Jej mali aktorzy z tzw. „grupy Agaty" uhonorowali ją dyplomem o treści „Najlepszy dyplom dla najlepszej pani reżyser Agaty Konstanty za niezwykłą cierpliwość, zdarte gardło i niebywały talent twórczy."

Za działalność w upowszechnianiu kultury w dziedzinie teatru otrzymywała liczne dyplomy, listy gratulacyjne i nagrody. Najważniejsze to: dyplom z dnia 7 maja 1978 roku za wybitny wkład pracy w rozwój amatorskiego ruchu teatralnego w województwie nowosądeckim oraz dyplomy Ministra Kultury i Sztuki (rok 1980), Wojewody Nowosądeckiego (rok 1982) i Prezydenta Miasta Nowego Sącza, za wybitne osiągnięcia w twórczości artystycznej w dziedzinie teatru.

Oprócz popularyzacji poezji polskiej Bogusława Agata Konstanty sama zajmowała się jej tworzeniem. Pozostawiła po sobie skromną acz niezmiernie interesującą spuściznę poetycką. W poezji Agaty – wspomina Antoni Kiemystowicz – jak w jej codziennym życiu, spotykają się humor, satyra, kpina, witalność z zadumą, głęboką refleksją o życiu człowieka, przemijaniu, śmierci, beznadziei... Opublikowanych zostało dwadzieścia pięć wierszy. Drukowane były w „Pogłosach Kramu", „Prezentacjach Klubu Młodych Twórców",

[2] J. Masior, *Odeszła Agata*, Dunajec, nr 11, 1984, s.6.

„Gazecie Południowej", „Kolejarzu", „Dunajcu", „Twórczości Robotników" oraz w licznych antologiach poezji regionalnej. Jej najsłynniejszym, wręcz sztandarowym utworem był „W moim miasteczku", wiersz drukowany aż czternaście razy. Oto jego treść:

W MOIM MIASTECZKU

W moim miasteczku na chmielowe tyczki
Zacne matrony wieszają kantyczki.
W moim miasteczku brzemienne dziewczyny
w welonach niosą do ołtarza winy.
W moim miasteczku o szarej godzinie
jad plotek ważą miejscowe erynie.
W moim miasteczku grzeszna Magdalena
wie, jak wysoka jest występku cena.
W moim miasteczku w knajpie, tej nad fosą,
gościowi majcher na talerzu niosą.
W moim miasteczku noc brzydotę kryje,
a anioł z diabłem smętnie piwo pije.

Wnikliwą analizę tego wiersza przedstawił w „Gazecie Krakowskiej" z 1979 roku, prof. Zbigniew Siatkowski.

Konstanty należała do Klubu Młodych Twórców przy ZW ZSMP i grupy literackiej „Sącz". Była wielokrotną laureatką Turnieju Jednego Wiersza „O Podegrodzki Ciosek", w tym dwukrotnie zajęła pierwsze miejsce. Pośmiertnie jej wiersze zebrano w tomiku pt.: „Zaproś mnie", wydanym w 1987 roku przez Sądecką Oficynę Wydawniczą. Wiele utworów pozostaje z pietyzmem przechowywanych, w postaci rękopisów, przez siostrę poetki.

Mimo pracy zawodowej w Nowym Sączu Konstanty aktywnie uczestniczyła w życiu kulturalnym rodzinnego miasta. W 1977 roku zaangażowała się w realizację zobowiązań konkursowych telewizyjnego turnieju „Bank 440". Od stycznia 1980 roku, wraz z Janiną Osiowską prowadziła sześćdziesięcio godzinny kurs pod hasłem: „O kulturę żywego słowa", dla uczniów szkół średnich. W tym samym roku przygotowała główną imprezę „Złotej Jesieni Popradzkiej". Wspólnie z Józefem Raczkiem organizowała Robotnicze Stowarzyszenie Twórców Kultury.

Zmarła 26 lutego 1984 roku, po długiej i ciężkiej chorobie. Na wieść o jej śmierci prof. Henryk Barycz w liście do ówczesnego przewodniczącego Towarzystwa Miłośników Starego Sącza – Stanisława Przybyłowicza pisał: „gdzieś i kiedyś przeczytałem może dwa jej krótkie wiersze i proszę mi wierzyć – byłem zdumiony Jej talentem poetyckim (...) te dwa utwory wystarczyły, aby uznać w niej prawdziwą poetkę – autentyczną, nie z rzędu tych uprawiających bełkot słów, pełnych zarozumiałości młodych twórców. Jestem pod wrażeniem tych kilku utworów Zmarłej."[3] Pojawiały się artykuły w prasie: nowosądecka kultura straciła Bogusławę Agatę Konstanty, „była wszędzie tam, gdzie robiło się kulturę teatralną. Ona sama jako reżyserka dała się poznać dziełami scenicznymi (...) O tych spektaklach pisała prasa kulturalna całego kraju, bo też za Jej sprawą, której było na imię talent, spektakle te były znaczące."[4]

W Starym Sączu jej twórczość przypomniano w czerwcu 1984 roku, w „Domu na Dołkach". Był to spektakl pt.: „Niczego nie żałuję". W Nowym Sączu uczczono Bogusławę Agatę Konstanty nadając jednej z ulic w dzielnicy Wólki jej nazwisko. Nagroda dla najlepszego instruktora teatralnego Wojewódzkich Przeglądów Teatrów Amatorskich także nosiła jej imię. Podobnie jak poświęcone jej były liczne konkursy poezji i prozy dla młodzieży szkolnej. Nowosądeccy poeci, Joanna Babiarzówna i Jerzy Masior, poświecili jej swoje wiersze.

W kwietniu 2001 roku Miejsko-Gminny Ośrodek Kultury w Starym Sączu przypomniał tę wspaniałą postać wystawą pt.: „Wszystko co zrobiła jest poezją".

Materiały do życia i twórczość Bogusławy Agaty Konstanty (1936 - 1984), zebrał i opracował Andrzej Długosz, materiały nie publikowane - ze zbiorów autora.

[3] Kopia listu prof. Henryka Barycza do Stanisława Przybyłowicza – ze zbiorów autora.

[4] (ski), *Nowosądecka kultura straciła Bogusławę Agatę Konstanty*, Dziennik Polski, nr 50, 1984, s.2.

Antoni Hybel (29 I 1872 – 26 III 1946)

Antoni Hybel urodził się 29 I 1872 roku w Przyszowej, w domu pod numerem 28. Ojciec Wawrzyniec (s. Stefana Hybel i Rozalii z.d. Wilczyńskiej), matka Marianna (c. Ignacego Lorek i Katarzyny z.d. Stawarskiej).

Lorkowie związani byli ze Starym Sączem, dziadek Antoniego – Ignacy, jak również i brat matki – także Ignacy byli rzeźbiarzami. Mieszkali w domu u zbiegu ulic Czarnieckiego i 3 Maja. Brat matki wybudował ok. roku 1886 dom przy ulicy Czarnieckiego 8.

W dzieciństwie Antoni wraz z rodzicami zamieszkiwał w Nowym Sączu, gdzie rozpoczął edukację. Wątłe zdrowie nie pozwalało jednak na kontynuowanie nauki, przez jakiś czas pomagał ojcu w stolarstwie, przebywał także 5 lat u swojego dziadka, Ignacego w Starym Sączu, gdzie doskonalił się w rzeźbie, a także wiele rysował w wolnych chwilach.

Od roku 1903 uczęszczał do Szkoły Przemysłu Drzewnego w Zakopanem na kierunku rzeźby figuralnej, gdzie posiadł gruntowne wykształcenie i pogłębił umiejętności nabyte w warsztacie dziadka. Oprócz wykonywania rzeźb zajmował

się budową różnego rodzaju sprzętów domowych. Mimo przedstawienia próśb, austriackie ministerstwo oświaty nie udzieliło mu zgody na stypendium zagraniczne, jednak zezwoliło na naukę o statusie ucznia nadzwyczajnego w uczelniach krajowych. Stąd podejmował on w miarę skromnych możliwości również studia w zakresie malarstwa w Krakowie (u Juliana Fałata), Wiedniu i Pradze.

Popiersie Adama Mickiewicza

Rzeźba w drewnie lipowym ze zbiorów Muzeum Regionalnego PTTK im. I. Łukasiewicza w Gorlicach. Fot. Marian Janiga, ze zbiorów Muzeum Regionalnego w Starym Sączu

Około roku 1910 pojawił się w Ropie k/Gorlic, gdzie przez czas jakiś zamieszkiwał w domu sióstr Kraczman, urzędniczek pocztowych. Tam też poznał i pokochał młodszą z sióstr. Dnia 27 V 1911 roku ożenił się z Malwiną Kraczman (1867-1933) i osiadł w Ropie na stałe. Niemłodzi już małżonkowie mieszkali początkowo u niezamężnej siostry żony, Walerii, jednak gdy ta za namową ówczesnego proboszcza w Ropie, zapisała dom parafii, Antoni zmuszony był wybudować skromny drewniany domek naprzeciw plebani. Stąd też zrodził się konflikt pomiędzy Antonim a proboszczem, którego rysy można rozpoznać w twarzy smoka, pokonanego przez św. Michała Archanioła, w rzeźbie znajdującej się w Muzeum Parafialnym przy kościele p.w. św. Katarzyny w Grybowie.

„Wspólne cierpienie"

Rzeźba w drewnie lipowym ze zbiorów Muzeum Regionalnego PTTK im. I. Łukasiewicza w Gorlicach. Fot. Marian Janiga, ze zbiorów Muzeum Regionalnego w Starym Sączu

Dla mieszkańców Ropy, stanowili wzorową parę, widywano ich wspólnie spacerujących po okolicy, odwiedzali zaprzyjaźnionych sąsiadów. Antoni zajmował się wykonywaniem przydrożnych krzyży, rzeźb do kościołów, kapliczek, portretował znajomych.

W lipcu 1925 roku, Urząd Patentowy Rzeczypospolitej Polskiej, przyznał świadectwo ochronne na wzór użytkowy p.n. „skrzypce" na rzecz pana Antoniego Hybla.

Instrument ten powstał w wyniku eksperymentów z konstrukcjami nowych odmian skrzypiec, o których marzył już od dzieciństwa, kiedy rozpoczął naukę gry na tym instrumencie. Zostały zbudowane według autorskiej koncepcji, z zastosowaniem nowego rozwiązania duszy, gdzie w połowie jej wysokości umieszczone było ruchome „śmigło".[1]

Nazwane jako „skrzypce polskie", skonstruowane przez rzeźbiarza i lutnika, o smukłym pudle rezonansowym, zbliżonym kształtem do litery „P", o silnym, głębokim i „nadzwyczaj miłym" głosie. Dusza skrzypiec została tak skonstruowana, aby możliwy był jej przesuw, wyposażona w skrzydełka, nadawała instrumentowi głębokiego brzmienia. Rezygnacja z fragmentu pudła, pozwalała na lepszy dostęp do najwyższych tonów. Kształt pudła powiązany z zasto-

sowaniem nowego typu „polskiej duszy", powodował ciekawe brzmienie tych skrzypiec.

Skrzypce „polskie" opatentowane przez Antoniego Hybla
Ze zbiorów Muzeum Regionalnego PTTK im. I. Łukasiewicza w Gorlicach. Fot Marian Janiga, ze zbiorów Muzeum Regionalnego w Starym S ączu

Artysta, będąc skromnym i unikającym rozgłosu człowiekiem, początkowo nie chciał rozpowszechniać wiadomości o swoim wynalazku, jednak po namowach przyjaciół, opublikował notatkę w Ilustrowanym Kurierze Codziennym.[2]

Odzewu praktycznie nie było, chociaż do Ropy przyjechał z Krakowa, zainteresowany wynalazkiem pan Arnold Kozieł, artysta-muzyk. Po wykonaniu szeregu prób instrumentu, wyraził się o nim w największych superlatywach, opisując swoje spostrzeżenia w artykule prasowym: *gdy się grało przez dłuższy czas na skrzypcach formy ogólnie znanej, bolała lewa ręka przez wykręcanie jej ponad skrzypce. Najważniejszym czynnikiem, nadającym nowym skrzypcom miękkość i pełność tonów, jako też siłę i równość dźwięku na wszystkich strunach oraz harmonię czystą, doprowadzoną do najwyższych tonów przy uderzeniu pałeczką, jest nowa, odrębna dusza, wynaleziona przez tegoż artystę. W rozmowie opowiadał artysta, że zaintrygowany dźwięcznym odgłosem lasu, chciał takie same echo, raczej oddźwięk włożyć w skrzypce. Nad tą myślą pracował artysta ponad 30 lat. Wspominam prawdziwy fakt, że gdy śpiewamy na wielkiej łące, ton prędko zanika i wychodzi twardo, co się*

dzieje także przy obecnej „patyczkowej duszy". Zalety powyższe przewyższają wszystkie oryginalne skrzypce koncertowe mistrzów takich jak Stradivarius, Amati, Stemer i in. Grając przez kilka dni na skrzypcach z nową „duszą" pociągnęły mnie powyższe zalety, tak że tęsknię w sposób nieokreślony za tą „Polską Duszą", jak ochrzcił artysta swoje skrzypce. Przed opatentowaniem swego wynalazku nie chciał artysta mi powierzyć jednego egzemplarza swoich skrzypiec.

Wspomnieć należy jeszcze o jednym jego wynalazku. Jest to aparat wyrzeźbiony z kości, z pomocą którego można brodą ton skrzypiec różnorako zmieniać, np. imitować brzęk owadów, naśladować z daleka słyszaną grę na mandolinie. Ten aparat nadaje się do akompaniamentu przy deklamacji, do tłumienia skrzypiec, do crescendo i decrescendo itd. Aparacik ten sprawiał mi bardzo dużo przyjemności. Muzycy niecierpliwie czekają na opatentowanie nowych skrzypiec o „duszy polskiej".[3]

O zaletach nowej konstrukcji można było także przeczytać: *Dusza polskich skrzypiec jest skrzydlata, zaopatrzona w drążek przewodni, podkowę płytką, przewodnią z małym wirkiem, w dodatku górna skrzydlata i korona dolna kolista. Dusza ta posiada pięciokrotne naprężenie, składa się z siedmiu kawałków drzewa, zajmuje miejsce niemal od jednego do drugiego otworu S, a każde przesunięcie tejże duszy zmienia swoje naprężenie.*

Duszy skrzydlatej nigdy się nie wyjmuje, nie przewraca się ona, mimo że jest ruchoma, także nie podlega zepsuciu, chyba gdyby ściany skrzypiec zostały połamane. Zapobiega ona również niszczeniu się skrzypiec, co jest nieuniknionym przy duszy patyczkowej, gdzie przez poprawianie jej otwory się niszczą; także gdy muzycy przez otwory ją wkładają – na starość skrzypce ton tracą i górna deska niszczy się.

Dusza skrzydlata działa znakomicie na tak zwane „timbre'' usuwa zupełnie twardość tonów, wrzaskliwość i syczenie, szmeru smyczka zupełnie nie słychać, daje miękkość tonów, a zarazem nadzwyczajną siłę i harmonię. Grający na tych skrzydłach otrzymują złudzenie, jakoby tonów z odległości, znika bezpośrednie wrażenie szorstkości, przeto artysta czuje się w prawdziwym żywiole tonów i gra bez zmęczenia. Tak samo ręka w najwyższych pozycjach nigdy nie boli, gdyż przez dogodną budowę skrzypiec dojście jest łatwe do najwyższych tonów.

Zaletą ogólną polskich skrzypiec jest miękkość i siła tonu oraz praktyczność w użyciu; wszak i rączka jest stosownie ułożona dla dogodnego zakładania strun, praktyczniejsza od zwykłej i nie psuje się w miejscu ułożenia kołków. Prócz praktyczności budowy skrzypce polskie są precyzyjnie i umiejętnie blaszkowane.[4]

Skrzypiec tych wykonał najprawdopodobniej jedynie cztery pary. Znane są egzemplarze w zbiorach Muzeum Regionalnego PTTK w Gorlicach, Muzeum Regionalnego w Starym Sączu, jedna para trafiła jeszcze przed wojną do prywatnych zbiorów.

Św. Michał walczący z szatanem
Rzeźba w drewnie lipowym z Muzeum Parafialnego
przy parafii pw. św. Katarzyny w Grybowie
fot. Marcin Chronowski

W dniu 17 XI 1933 zmarła jego ukochana żona. Na grobie, Antoni Hybel ustawił figurę Matki Boskiej Płaczącej, własnego dłuta. Od tej pory żył samotnie w domku naprzeciw plebanii.

Nagrobek żony artysty Malwiny Hyblowej. Cmentarz parafialny w Ropie
fot. Waldemar Michalik

Atlant podpierający balkon budynku *fot. Waldemar Michalik*

Oprócz tworzenia w dziedzinie rzeźby, malarstwa i lutnictwa, Antoni Hybel pasjonował się także wynalazczością. Próbował przez szereg lat skonstruować „perpetuum mobile"[5] – żarna do mielenia zboża, poruszane energią przesypującego się piasku.

Bolesław Klehr z Ropy, znający bardzo dobrze Hybla wspominał: *Maszyną Hybla zainteresowali się podczas wojny Niemcy, poszukujący u schyłku przegrywanej wojny każdego, nawet najbardziej nierealnego źródła siły. Podobno trwały pertraktacje na temat przeniesienia konstruktora do lepiej wyposażonych warsztatów, zorganizowania współpracy naukowców miała działać dzięki ruchowi piasku, który przesypywał się z jednego zbiornika do drugiego, napędzając koło zamachowe.*[6]

Prototyp urządzenia niszczał jeszcze wiele lat po śmierci twórcy w jego opuszczonym domku.

Podczas wojny, u Hybla pokazywali się żołnierze niemieccy, którzy stali się wtedy odbiorcami jego prac, dając w zamian symboliczne zapasy środków spożywczych, pozwalające Antoniemu przetrwać najgorszy okres.

Zmarł 26 III 1946 roku i został pochowany na cmentarzu w Ropie. Pamięć o artyście ulegała zapomnieniu. Nie było komu ustawić na jego grobie rzeźby Matki Boskiej Różańcowej, którą w tym właśnie celu wyrzeźbił u schyłku swego życia, a która do dziś dnia stoi nieopodal ośrodka zdrowia.

Artysta zmarł bezpotomnie, domek w którym mieszkał, zamieniał się powoli w ruinę a niezabezpieczone rzeźby, obrazy i pamiątki, były rozkradane i niszczone.

Grób Antoniego Hybla na cmentarzu w Ropie. Stan z 8.06.2003
Fot. Waldemar Michalik

W roku 1956 do organizującego się muzeum PTTK w Gorlicach, przywieziono pierwsze uratowane rzeźby i prace artysty. Stało się to po interwencji spadkobiercy Antoniego Hybla, Jana Gryza ze Starego Sącza, który upoważnił dzierżawcę domku artysty do ich przekazania do muzeum. Część prac uratował kierownik Szkoły Podstawowej w Ropie Bolesław Klehr z żoną Marylą z.d. Sitar, która w swoich zbiorach rodzinnych posiadała obrazy Hybla z początków jego pobytu w Ropie. Niektóre prace zostały zabezpieczone przez kierownika Szkoły Podstawowej z Szymbarku mgr Jana Spólnika i umieszczone w izbie pamięci tamtejszej podstawówki.

Anoni Hybel rzeźbił postacie realistyczne, świątki, postacie i sceny alegoryczne, figury sakralne. Malował pejzaże jak i też obrazy o treści głęboko symbolicznej. Niewielką liczbę prac udało się zachować i obecnie znajdują się m.in. w Muzeum Regionalnym PTTK w Gorlicach (12 rzeźb w gipsie, drewnie i glinie, 1 obraz i 1 egz. „skrzypiec polskich"), Muzeum Regionalnym w Starym Sączu (3 obrazy olejne „Signum Temporis", „Sąd Ostateczny", „Obrona krzyża" i 1 egz. „skrzypiec polskich"), Muzeum „Gryf" przy Szkole Podstawowej w Szymbarku oraz w zbiorach prywatnych rodziny Klehrów, Janigów i Gryzów.

W Ropie znajdują się trzy krzyże jego autorstwa, również postacie atlantów podpierających balkon nad wejściem do obecnego ośrodka zdrowia (gdzie sportretował dwóch miejscowych Żydów – którzy wytoczyli mu o to proces sądowy), wspomniane rzeźby Matki Boskiej Płaczącej i Matki Boskiej Różańcowej, dwa kolejne posągi Matki Boskiej – przed kościołem i na cmentarzu.

Rzeźba Chrystusa Ukrzyżowanego na terenie przysiółka Ropa Kusiówka, parc. nr 224, wł. Wł. Dzwonka
fot. Waldemar Michalik

Figura Matki Boskiej Różańcowej
obok dawnego ośrodka zdrowia w Ropie
przeznaczona na grób Artysty
nie doczekała się ustawienia
fot. Waldemar Michalik

Figura św. Michała Archanioła walczącego z szatanem, która zdobiła dawniej nawę kościoła parafialnego p.w. św. Katarzyny w Grybowie, jest obecnie ustawiona pod zadaszeniem na zewnątrz świątyni i należy do kolekcji Muzeum Parafialnego. Szereg rzeźb znajduje się w kościele parafialnym p.w. św. Michała Archanioła w Ropie (krucyfiks na belce tęczowej, Pan Jezus w okowach biczowany, szopka betlejemska, święci: Piotr, Paweł, Stanisław Kostka, Alojzy i Antoni).

Wspominała Katarzyna Janiga z Ropy: *Gdyby żył w dzisiejszych czasach, ktoś by się nim zainteresował jako człowiekiem uzdolnionym. Mógłby skończyć szkoły, mieć lepsze warunki do pracy. A tak to żył jak żył, pod koniec w biedzie i zapomnieniu. Nawet nagrobka nie ma na cmentarzu, a resztki rzeźb i obrazów, no i ta maszyna perpetuum mobile niszczeją w warsztacie - składziku, rozstawione po kątach pokryte warstwą kurzu.*

Żył na łaskawym chlebie, a zresztą nie potrzebował zbyt wiele. Żył wpatrzony w siebie, a jeszcze bardziej niż w siebie – w pomysły twórcze i kształty, z których część pochodziła z chmur z nieba, a część trzeba było wykombinować, wymyślać. Ale nie chciał żyć bezużytecznie. Poza rzeźbieniem

i malowaniem, tworzył latami maszynę, która raz puszczona w ruch miała poruszać się wiecznie, stanowiąc najtańsze i niewyczerpane źródło energii. Perpetuum mobile.

Mimo że tak odmienny, cieszył się we wsi szacunkiem i poważaniem. Nie potrzebował zresztą zbyt wiele. Ludzie żywili podziw dla jego talentów i wiedzy, z rzadka tylko trafiały się nieporozumienia. Dzierżawca tartaku w Ropie zaproponował Hyblowi, że chętnie kupiłby jego perpetuum mobile w prezencie dla syna, bo to dobra zabawka. Hybel chodził roztrzęsiony przez kilka dni.

Miał też spór ze sąsiadem ks. proboszczem Adamem Wawrzykowskim, ponieważ siostra żony przepisała na parafię budynek, w którym mieszkali. Zmuszony był obok zbudować sobie własny, mały drewniany domek i pracownię.[7]

„Signum Temporis". Obraz olejny A.Hybla.
Ze zbiorów Muzeum Regionalnego im. S. Udzieli w Starym Sączu.
Fot. Leszek Zakrzewski

Maria Górak (rocznik 1904) po wielu latach, w roku 1975, opowiadała dzieciom zbierającym informacje o Antonim Hyblu: *Hybel był niskiego wzrostu, nosił wąsy i długie włosy. Nie odżywiał się dobrze i mało dbał o siebie. Żywił się czasem tym co mu ludzie przynieśli. Lubił ładnie porozmawiać, ale był skryty i tajemniczy. Opowiadać o sobie, że go coś boli czy smuci nie chciał. Chował pieczołowicie i bardzo szanował*

pamiątki po żonie Malwinie, ubrania, nawet nie pozwolił ruszać cukru i ciasta, które ostatnio upiekła. Rzeźbił i malował całymi dniami. Do tego miał glinę specjalnie spreparowaną, gips i drewno.
Przed rzeźbieniem szkicował, robił rysunek. Czasem do Hybla zachodzili ludzie i już ich od razu rysował, kiedy oni o niczym nie wiedzieli, że ich szkicuje. Kto mu się we wsi spodobał to go zapraszał , aby mu pozował do rzeźby. Ja mu pozowałam do rzeźby „Starościna w czepcu weselnym". Wykonał ją w gipsie. Kazał mi się ubrać. Miałam czepiec na głowie, korale, chustę na ramionach i jabłko w ręce.[8]

„Sąd Ostateczny". Obraz olejny A.Hybla.
Ze zbiorów Muzeum Regionalnego , im. S. Udzieli w Starym Sączu.
Fot. Leszek Zakrzewski

Wiele lat temu odszedł do wieczności artysta niezwykły, człowiek skromny, który nie zabiegał o sławę i zaszczyty, ale żył swoją sztuką i żył dla niej. Nie poznany do końca w swoim środowisku jako człowiek, nie rozpoznany zawczasu jako artysta o dużym talencie i bogatej osobowości. Niewiele brakowało, a poszedłby całkowicie w zapomnienie. W blisko dwadzieścia lat po jego śmierci, znalazł się jednak człowiek, który postanowił ocalić pamięć o tym niezwykłym artyście.

Jest to pan Marian Janiga z Gorlic, niestrudzenie od wielu lat zajmujący się badaniem życia i twórczości Antoniego Hybla i upowszechniający jego postać w artykułach prasowych i przygotowywanej książce.

Chciałbym przekazać podziękowania Sekretarzowi Gminy Ropa Januszowi Koniorowi, Piotrowi Chronowskiemu i Waldkowi Michalikowi za pomoc przy zbieraniu materiałów do artykułu oraz Marianowi Janidze za zezwolenie na wykorzystanie materiałów przez niego opracowanych.

Artykuły poświęcone Antoniemu Hyblowi, łącznie z przytoczonymi w przypisach:

1. *Wynalazek polski w dziedzinie muzyki skrzypcowej.* w: „Ilustrowany Kurier Codzienny", Kraków, nr 91 z dnia 1 IV1924 r.
2. *Nowy wynalazek w dziedzinie skrzypiec.* w: „Świat i prawda", miesięcznik, Grudziądz, nr 23/1925 r.
3. Zenon Gątkowski *Skrzypce polskie – triumf mistrzostwa.* w: „Świat i prawda", miesięcznik, Grudziądz, nr 4(33)/1926 r.
4. Marian Janiga *Zapomniany artysta* w: „Widnokrąg", nr 13/ 1969, Rzeszów
5. Marian Janiga *Polskie skrzypce z polską duszą* w: „Wieści", tygodnik, Kraków, nr 14/1969
6. Marian Janiga *Antoni Hybel – zapomniany artysta ludowy z Ropy* w: „Profile", miesięcznik, Rzeszów, nr 10/1970
7. Paweł Kwiatkowski *Ślad człowieka* w: „Nowa Wieś", tygodnik, Warszawa, nr 15/1972
8. Marian Janiga *Ludowy artysta z Ropy* w: „Dunajec", tygodnik, Nowy Sącz, nr 40/1982
9. Marian Janiga *Rzeźbiarz z Ropy (Antoni Hybel 1872-1946)* w: „Gazeta Gorlicka", miesięcznik, Gorlice, nr 7/1991
10. Marian Janiga *Rzeźbiarz z Ropy (Antoni Hybel 1872-1946)* w: „Głos Sądecki", tygodnik, Nowy Sącz, nr 25/1992
11. Marian Janiga *Ślad człowieka – o rzeźbiarzu Antonim Hyblu 1872-1946* w: „Kurier Podkarpacki", tygodnik, nr 6/1993
12. Marian Janiga *Ślad człowieka (o Antonim Hyblu)* w: „Gazeta Krakowska", dziennik, Kraków, nr 3/1993

13. Marian Janiga *Ślad człowieka – o rzeźbiarzu Antonim Hyblu (1872 – 1946)* – część I, w: „Tygodnik Gorlicki", nr 8/ 24 II 1995 r.
14. Marian Janiga *Ślad człowieka - o rzeźbiarzu Antonim Hyblu (1872 – 1946)* –część II, w:„Tygodnik Gorlicki", nr 9/ 3 III 1995 r.
15. Marian Janiga *Ślad człowieka – o rzeźbiarzu Antonim Hyblu (1872 – 1946)* – część III, w:„Tygodnik Gorlicki", nr 10/ 10 III 1995 r.
16. Marian Janiga *Ślad człowieka – o rzeźbiarzu Antonim Hyblu (1872 – 1946)* – część IV, w:„Tygodnik Gorlicki", nr 11/ 17 III 1995 r.
17. Marian Janiga *Ślad człowieka - o rzeźbiarzu Antonim Hyblu (1872 – 1946)* – część V,w:„Tygodnik Gorlicki", nr 49/ 7 XII 1995 r.
18. Marian Janiga *Ślad człowieka – o rzeźbiarzu Antonim Hyblu (1872 – 1946)* - część VI, w:„Tygodnik Gorlicki", nr 50/ 14 XII 1995 r.
19. Marian Janiga *Antoni Hybel* w: „Tygodnik Gorlicki", nr 2/1996 r.
20. Marian Janiga *Ślad człowieka – o rzeźbiarzu Antonim Hyblu* w: „Tygodnik Gorlicki", nr 3/ 18 I 1996 r.
21. Marian Janiga *Ropiak Antoni Hybel (1872-1946)* w: „Tygodnik Gorlicki", nr 4/ 23 I 1998 r.
22. Marian Janiga *Ludzie odeszli do wieczności – rzeźby zostały, czyli atlanci w wykonaniu Antoniego Hybla* w: „Tygodnik Gorlicki", nr 16/1998
23. Marian Janiga *O Antonim Hyblu z Ropy* w: „Kwartalnik Gorlicki", nr 15/ 2001
24. Marian Janiga *Historia rzeźb Antoniego Hybla* w: „Tygodnik Gorlicki", nr 9/ 2002
25. Marian Janiga *Pozostały pamięć i rzeźby* w: „Gazeta Nowosądecka" – dodatek do „Gazety Krakowskiej", z 31.01.2003

[1] Zdzisław Szulc *Słownik lutników polskich* Poznań 1953, str. 67

[2] Ilustrowany Kurier Codzienny, nr 91/ 1 IV 1924 r.: *P. Antoni Hybel, artysta rzeźbiarz (p. Ropa via Gorlice) komunikuje, że dokonał ciekawego wynalazku. Skonstruował on mianowicie „polskie skrzypce", odrębne od wszystkich dotychczasowych. S ą one kształtem zbliżone do litery P, a głos ich*

[2] Ilustrowany Kurier Codzienny, nr 91/ 1 IV 1924 r.: *P. Antoni Hybel, artysta rzeźbiarz (p. Ropa via Gorlice) komunikuje, że dokonał ciekawego wynalazku. Skonstruował on mianowicie „polskie skrzypce", odrębne od wszystkich dotychczasowych. Są one kształtem zbliżone do litery P, a głos ich jest silny, głęboki i nadzwyczaj miły. W pozycjach wyższych gra się z łatwością. Dusza tych skrzypiec jest automatyczna, skrzydlata, można ją dowolnie przesuwać, nie przewraca się i nigdy się jej nie wyjmuje, a nadaje ona ton głęboki i miły. Ton dominujący D. Wynalazca niczego bardziej nie pragnie, jak tylko tego, a żeby któryś z naszych muzyków wystąpił publicznie z koncertem odegranym na jego skrzypcach, które zdaniem wynalazcy, mogą doskonale konkurować ze skrzypcami zagranicznymi. „Pracowałem – pisze Hybel – przez kilkanaście lat nad ulepszeniem tych prawdziwie polskich skrzypiec i gorąco bym pragnął, aby praca moja nie poszła na marne".*

[3] Marian Janiga *Antoni Hybel-zapomniany artysta ludowy z Ropy* w: Miesięcznik Społeczno-Kulturalny „Profile" nr 10 (19), Rzeszów, październik 1970; cytat z artykułu autorstwa Zenona Gątkowskiego *Skrzypce polskie- tryumf mistrzostwa. Dzieje skrzypiec od ich zapoczątkowania* opublikowanego w czasopiśmie „Świat i Prawda" nr 33 (4) z kwietnia 1926 roku, ukazującym się w Grudziądzu.

[4] Zenon Gątkowski *Skrzypce polskie – triumf mistrzostwa*, w: „Świat i Prawda", miesięcznik, Grudziądz, nr 33/1926 r.

[5] Perpetuum mobile (z łacińskiego - "poruszające się wiecznie"), urojona maszyna, której skonstruowanie wykluczają zasady termodynamiki. Ze względu na postulowaną zasadę działania wyróżnia się dwa rodzaje perpetuum mobile:
1) maszyna wytwarzająca pracę bez dostarczania energii z zewnątrz (tzw. perpetuum mobile pierwszego rodzaju, sprzeczne z I zasadą termodynamiki).
2) maszyna wykorzystująca energię cieplną otaczających ciał i w całości przetwarzając ją na pracę (tzw. perpetuum mobile drugiego rodzaju, sprzeczne z II zasadą termodynamiki).

[6] Marian Janiga *Ślad człowieka. Artysta rzeźbiarz Antoni Hybel (1872-1946)* rękopis w zbiorze Urzędu Gminy w Ropie

[7] j.w.

[8] j.w.

Józef Raczek „Józef ze Sącza" /1922-1990/

Józef Raczek urodził się 19 listopada 1922 r. w Starym Sączu. Zainteresowanie sztuką sprawiło, że rozpoczął studia w Państwowej Wyższej Szkole Teatralnej i Filmowej w Łodzi. Ten orędownik Sądecczyzny, chociaż często bywał w Starym Sączu, to właśnie w Łodzi spędził znaczną część życia, by w końcu na stałe związać się z rodzinnym miastem. W Łodzi był bardzo czynny zawodowo i twórczo. Pracował w Teatrze Lalek i w Młodzieżowym Domu Kultury jako instruktor w pracowni fotograficznej. Sam też dużo fotografował. Pisał sztuki teatralne, bajki, zagrał nawet w filmie. W Łodzi zaczął swoją przygodę ze zbieractwem. Kolekcjonował wszystko, co nadawało się do zbierania.

Do Starego Sącza powrócił w 1975 r. Praktycznie nigdy nie rozstawał się ze swym rodzinnym miastem. Przyjeżdżał kilka razy w roku, przywoził wycieczki z łódzkiego Młodzieżowego Domu Kultury, a w lipcu 1966 r. zorganizował dla łódzkiej młodzieży plener malarski, zakończony wystawą w Domu na Dołkach.

Po powrocie natychmiast włączył się do pracy kulturalno oświatowej na krótko w Muszynie w tamtejszym Domu Kultury, a następnie w Zakładowym Domu Kultury Klęczańskich Ka-

mieniołomów. Po przejściu na rentę w 1978 r. całą swoją energię poświęcił Staremu Sączowi. W zakupionej na własność części budynku - Rynek 21 urządził miejsce spotkań, dyskusji, twórczej pracy ze wszystkich dziedzin sztuki. Od dzieciństwa rozmiłowany w fotografii, zachęcał innych do tej twórczości. Uprawiał także inne gatunki jak malarstwo, grafika, rzeźbiarstwo, a nawet ceramika. W tym celu zbudował własny piec garncarski.

Pełen energii i różnych pomysłów bardzo szybko zgromadził wokół siebie twórców nieprofesjonalnych z całego powiatu nowosądeckiego, a nawet z Limanowej. Z pośród nich zorganizował Zrzeszenie Artystów Nieprofesjonalnych skupiające około 30 osób. Do tego zrzeszenia należał także znany rzeźbiarz krynicki - rodem z Barcic - Józef Citak, który w kraju pełnił funkcję prezesa Ogólnopolskiego Zrzeszenia Twórców Ludowych. Zrzeszenie otwarte dla wszystkich skupiało malarzy, rzeźbiarzy, fotografów, garncarzy, a także literatów jak Agata Konstanty.

Dzięki swej operatywności i powołanemu zrzeszeniu załatwił emerytury dla starosądeckich garncarzy.

Dom przy Rynku 21 zamienił się w wielką galerię sztuki nieprofesjonalnej. Wszystkie pomieszczenia, łącznie z przestronną sienią, Józef Raczek własnoręcznie pokrył grafikami, obrazami, rzeźbami. Do dnia dzisiejszego podziwiać można resztki wystroju z okresu świetności galerii i twórczego życia jakie tętniło tu za życia właściciela.

Józef Raczek przybierając pseudonim „Józefa za Sącza" zakochał się w podegrodzkim stroju. W nim pokazywał się na wszystkich uroczystościach, plenerach, wystawach, spotkaniach. Zgodnie ze swoim życzeniem w tym właśnie stroju złożono jego ciało do trumny. Zmarł 10 listopada 1990 r. i spoczął na starosądeckim cmentarzu.

Raczek tworzył w wielu technikach realizując różne tematy. Jako wszechstronny artysta nie zajmował się jedynie jedną dziedziną sztuki, jego otwartość i pęd ku nowemu były nieograniczone. Miał usposobienie niecierpliwe wiele spraw zaczynał i nie kończył. Był człowiekiem wesołym, tryskającym humorem, towarzyskim, powszechnie lubianym. Niejedną noc spędził w gronie roześmianych kompanów, na rozmowach przy winie i śliwowicy w swoim domu, w pokoju „Pod muzami".

Fragment stropu sieni budynku Rynek 21 malowany przez J. Raczka.
Fot. J. Czyżowski

Jak mało kto, artysta patrzył na sztukę nie tylko przez pryzmat swojej twórczości, ale widział i doceniał wysiłki innych. Józef Raczek odwiedzał wsie i miasteczka, przemierzał setki kilometrów; od Krosna po Bielsko Białą, Tarnów, Kraków. Wyszukiwał ludzi fascynujących, artystycznie uzdolnionych, często ludzi „dziwnych", odrzuconych przez innych. Zachęcał ich do tworzenia, podarowując im dłuta, farby. Akceptował ich takimi jakimi byli. Tolerancyjny wobec ich poglądów politycznych i religijnych. Ważna dla niego była twórczość, niezależnie od stopnia jej profesjonalizmu. Jak sam mawiał „artysta to artysta".

Inspiracja twórców, tolerancja wobec nich, bezinteresowna pomoc oraz możliwość przynależności do bohemy artystycznej pozwoliło Raczkowi skupić wokół siebie wielu artystów cenionych przez krytykę, jak i mniej znaczących czy wręcz rzemieślników lub jedynie sympatyków sztuki. Oddał im swój dom, tworząc coś na wzór domu pracy twórczej i galerii. Zamierzał podzielić podwórko na małe stoiska, gdzie twórcy ludowi prezentowaliby różne dziedziny sztuki i rzemiosła, m. in. malarstwo, rzeźbę, kowalstwo artystyczne, wikliniarstwo, powroźnictwo i garncarstwo.

Chciał organizować wieczory przy muzyce, poezji i małą scenę teatralną. Częściowo zrealizował ideę stworzenia „Małego Paryża", gdzie panowała artystyczna, swobodna atmosfera cyganerii i kloszardów; egzotycznego podwórka, gdzie miesza się rzeczywistość z bajką, konkretność z oddechem niejednej muzy.

Te ambitne plany przerwała w 1990 r. śmierć artysty. Jego śmierć jak każda była o wiele za wczesna. Pozostawił w smutku rodzinę i przyjaciół, ale przede wszystkim osierocił rzesze artystów, dla których był jednym w swoim rodzaju mecenasem.

Grafika, wykonana techniką linorytu i monotypia. Grafika jest jednym z bardziej sugestywnych przykładów poszukiwań twórczych Raczka, opartych na intuicji i spontaniczności. Linoryty mają charakter wizji często przewodzący na myśl świat teatru. Niektóre nawet, zamknięte są przez koncentrycznie zbiegające się konary drzew, które, jak sceniczna kurtyna, ujmują obraz. Własną wizję malarską dyktuje mu sądecka ziemia i jej małomiasteczkowa atmosfera, spotęgowana pierwiastkiem religijnym, historycznym i ludowym.

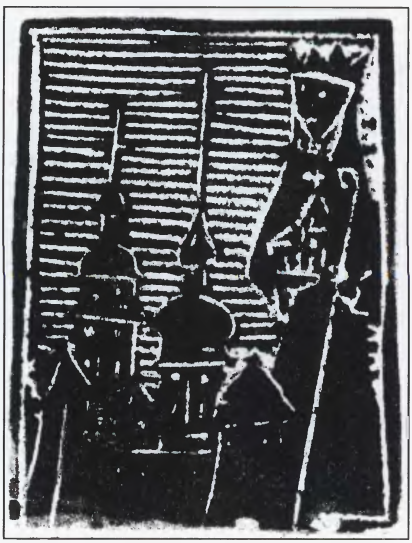

Józef Raczek traktował sztukę jako swoisty pamiętnik, notował bliskie swojemu sercu przeżycia i ulubione już od dzieciństwa miejsca - starosądecki rynek z pięknymi kamieniczkami i malownicze zaułki z krzywymi domami. Trudno nie wspomnieć o tak licznych przedstawieniach klasztoru klarysek otoczonego wysokim murem obronnym z cylindryczną basztą, zamykającym tajemniczy, nieosiągalny świat. Teka grafiki zawiera też wspomnienia z licznych podróży. Na wystawie są prace powstałe w Paryżu, prezentujące najpiękniejsze zabytki tego miasta, graficzne portrety królów polskich (Bolesław Wstydliwy, Władysław Łokietek, Jan Sobieski) i pra-

ce związane z konkretnymi wydarzeniami historycznymi „Nie przebaczymy" - bolesna w swej prostej formie kompozycja przypominająca przeżycia z II wojny światowej oraz linoryty przedstawiające folklor Sądecczyzny ("A w naszym Bryjowie są takie zwyczaje", „Sądeckie dwojaczki", „Sądeczanie").

Są prace, w których autor określa się ulubioną tematyką, w innych natomiast stosunkiem do formy, czy nawet do jej deformacji. Deformacja obrazu jest zamierzona i nie wynika z błędów warsztatowych artysty, lecz z wyrachowanego, nieco groteskowego spojrzenia na otaczający świat, widziany w krzywym zwierciadle, z przymrużeniem oka.

Fragment stropu sieni domu Rynek 21 malowany przez J. Raczka
Fot. J. Czyżowski

Niektóre prace potraktowane są płasko, wręcz „plakatowo", pozbawione szczegółów, kreowane dużymi płaszczyznami; syntetycznie ujęte kształty skłaniają ku geometryzacji. Inne toną od natłoku nagromadzonych elementów, zestawionych niedbale, bez przestrzegania praw statyki, jawiąc się jako typowy horror vacui.

Bywają też linoryty kompozycyjnie uporządkowane, które chociaż gęsto zapełniają powierzchnię, nie gubią się w gmatwaninie kratownic, zygzaków, pokreskowanych w róż-

nych kierunkach małych pół, niczym szlif diamentu. Ich kraciasta forma dodatkowo podnosi ekspresję obrazu.

Często zdarza się tak, że tylko niektóre partie grafiki opracowane są drobiazgowo. Wynika to z chęci wyartykułowania charakterystycznego motywu danego tematu, jak choćby w przedstawieniach Starego Sącza. Drobiazgowością podkreśla te wątki, które określają klimat miejsca, tkwiące głęboko w świadomości artysty jako znaki rozpoznawcze (rynek, klasztor, kapliczki, bł. Kinga).

Raczek niejednokrotnie odrzucał konwencjonalny sposób odtwarzania rzeczy, w zamian chętnie posługiwał się symbolem albo znakiem i to nieraz bardzo dosadnym. Jego sztuka ma realistyczny rodowód, ale trzeba ją ulokować pomiędzy światem zjawisk zewnętrznych a wewnętrznym światem przeżyć.

Kolejne obrazy - wizje budują niepowtarzalny nastrój, stwarzają klimat specyficznie poetycki, spowity jakąś tajemniczością, magią miejsc. Osobowość artysty i świat jaki odtwarzał dopełniają się, nawzajem wpływają na siebie.

Przy opracowaniu wykorzystano katalog z wystawy Muzeum Okręgowego w Nowym Sączu „Grafika Józefa Raczka" z 1998 roku.

115 rocznica urodzin Jana Joachima Czecha i inne wydarzenia

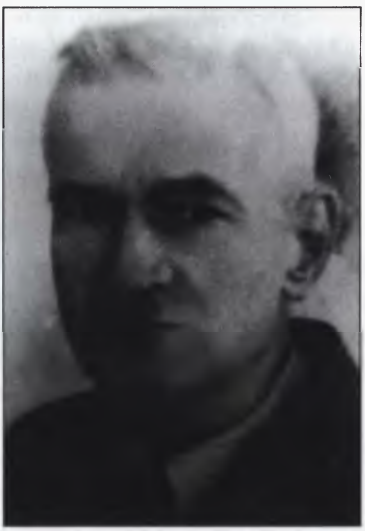

W 2003 r. przypadła 115 rocznica urodzin Jana Joachima Czecha, nauczyciela, pedagoga, kompozytora, poety i działacza społecznego. O postaci tej napisano w drugim tomie „Historii Starego Sącza", a także w „Kronikach Muzealnych" Nr 1. Niemniej dla młodego pokolenia Jan Joachim Czech jest osobą nieznaną, zanikają bowiem piosenki pisane przede wszystkim dla dzieci, nie recytuje się jego poezji. Tablice pamiątkowe - jedna umieszczona przez rodzinę w miejscu gdzie stał stary dom małżeństwa Czechów przy ul. Bolesława Chrobrego, jak również tablica na budynku szkoły podstawowej, obecnie gimnazjum przy ul. Daszyńskiego ufundowana przez Towarzystwo Miłośników Starego Sącza - bardzo często pozostają niezauważone.

Towarzystwo Miłośników Starego Sącza postanowiło uczcić rocznicę Jana J. Czecha specjalną uroczystością. Zaplanowano ją w połączeniu z odbywającym się co roku w Starym Sączu przeglądem szkolnych zespołów artystycznych. Imprezie tej od lat patronuje Jan Joachim Czech, a w tym roku była to już XXV edycja tego przeglądu i miała miejsce dnia 22 maja 2003 r.

Bezpośrednio po tym przeglądzie 23 maja Towarzystwo Miłośników Starego Sącza wspólnie z Powiatową i Miejsko - Gminną Biblioteką Publiczną w Starym Sączu zorganizowało sympozjum poświęcone życiu i twórczości Jubilata. Uroczystość odbyła się w kinie „Sokół", a udział wzięły bibliotekarki z powiatu nowosądeckiego oraz młodzież z miejscowych szkół, rodzina i przyjaciele. Zamysłem organizatorów było, aby zebranym przypomnieć bogaty życiorys Jana J. Czacha, zapoznać z jego twórczością poetycką, a także posłuchać pieśni, piosenek, kolęd i innych utworów skomponowanych przez Jana Joachima Czecha, wykonywanych jeszcze przez niektóre zespoły dziecięce i ludowe.

Sympozjum otworzył Prezes Towarzystwa Miłośników Starego Sącza Jan Koszkul, uzasadniając dlaczego przypominamy postać poety, kompozytora i nauczyciela oraz jego zasługi położone w rozwój oświaty w Starym Sączu, a przede wszystkim jego dorobek artystyczny.

Syn jubilata Ludwik Czech przypomniał życiorys ojca i jego dorobek artystyczny. W programie wystąpił także artysta scen krakowskich Alexander Polek, który recytował wiersze poety i listy pisane do rodziny, a także recenzje jakie na jego temat ukazały się w kraju. Całość wzbogaciły wyświetlane slajdy oraz występy dzieci z Młodzieżowego Domu Kultury w Starym Sączu jak również utwory odtwarzane z płyt i taśm.

Na zakończenie sympozjum zebrani powstali i chwilą ciszy uczcili pamięć poety i kompozytora, a delegacja młodzieży udała się na starosądecki cmentarz, aby na grobie Jana Joachima Czecha złożyć wiązankę kwiatów i zapalić znicze.

Uzupełnieniem uroczystości było otwarcie okolicznościowej wystawy w „Galerii" Rynek 5, gdzie zgromadzono liczne pamiątki po Jubilacie, rękopisy dzieł, a przede wszystkim przedstawiono bogaty księgozbiór obrazujący jego twórczość. Komisarzem wystawy był Andrzej Długosz. Wystawa czynna była przez cały czerwiec, aż do Starosądeckiego Festiwalu Muzyki Dawnej. Tym samym artyści uczestniczący w imprezie, jak również liczni goście festiwalowi mogli zapoznać się z twórczością kompozytorską Jana J. Czecha.

Stwierdzić należy, że zamiar Towarzystwa Miłośników Starego Sącza, aby przypomnieć postać Jana Joachima Czecha oraz przybliżyć jego twórczość, spełnił swoje zadanie.

x x x

W 2003 roku zrealizowane zostały czteroletnie zabiegi Towarzystwa Miłośników Starego Sącza o naprawę dachu na budynku Muzeum Regionalnego. Ostatecznie wymieniono gonty na zabytkowej części budynku. Wykonawcą była firma „Erbet" z Nowego Sącza. Tym samym zabezpieczono budynek na co najmniej dwadzieścia kolejnych lat. Koszt inwestycji pokryto z budżetu miasta i gminy na 2003 r.

x x x

W 2003 roku Muzeum Regionalne im. Seweryna Udzieli uczestniczy w prezentacji Starego Sącza na monumentalnej wystawie zorganizowanej przez Wojewódzką Bibliotekę Publiczną w Krakowie - ul. Rajska 1.

Ze strony Towarzystwa Miłośników Starego Sącza w oparciu o archiwum i eksponaty muzeum zabezpieczono następujące działy wystawy:

- historia miasta, zabytki Starego Sącza,
- sławni starosądeczanie
- ważniejsze wydarzenia historyczne związane ze Starym Sączem
- historia Starosądeckich Festiwali Muzyki Dawnej
- rzemiosło starosądeckie
- historia powstania i działalność Towarzystwa Miłośników Starego Sącza
- wizyta Ojca Świętego Jana Pawła II 16.06.1999 r

Wszystkie te działy opatrzone zostały zdjęciami.

Uzupełnieniem udziału starosądeckiego muzeum były eksponaty i obrazy udostępnione na czas trwania wystawy ze stałej ekspozycji muzeum.

Wystawa otwarta została 21 października 2003 r. na okres co najmniej trzech miesięcy.

Spis treści

Życiorysy i sylwetki

Ludwik Panczykowski - aktor scen warszawskich
opr. Andrzej Nicpoński str. 3
Marian Mikuta - aktor
opr. Edmund Wojnarowski str. 9
Bronisława Rychter-Janowska - malarka
opr. Anna Totoń str. 15
Bogusława Agata Konstanty - poetka
opr. Andrzej Długosz str. 22
Antoni Hybel – rzeźbiarz, malarz, lutnik
opr. Leszek Zakrzewski *str. 28*
Józef Raczek – „Józef ze Sącza"
opr. Marzena Radożycka-Zielińska *str. 43*

Z kroniki Towarzystwa Miłośników Starego Sącza

115. rocznica urodzin Jana Joachima Czecha
i inne wydarzenia 2003 roku
opr. Jan Koszkul str. 49

Sądecka Oficyna Wydawnicza
Małopolskiego Centrum Kultury SOKÓŁ
w Nowym Sączu

ISSN 1643-8337